

A detailed landscape painting in a classic style. The scene depicts a wide, green valley with a river in the foreground. The river's surface is calm, reflecting the surrounding greenery and the sky. On the left, a large, rugged mountain rises, its slopes covered in dense green forests. In the center and right, more rolling hills and mountains are visible, also covered in lush green trees. The sky is a pale, hazy blue, suggesting a bright but slightly overcast day. The overall composition is balanced and serene, capturing the beauty of a natural wilderness.

NA KRESACH LASÓW

WACŁAW SIEROSZEWSKI

Wacław Sieroszewski

Na kresach lasów

Wersja Demonstracyjna



Wydawnictwo Psychoskok
Konin 2017

Wacław Sieroszewski
„Na kresach lasów”

Copyright © by Wacław Sieroszewski, 1920
Copyright © by Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o. 2017

Zabrania się rozpowszechniania, kopiowania
lub edytowania tego dokumentu, pliku
lub jego części bez wyraźnej zgody wydawnictwa.

Tekst jest własnością publiczną (public domain)

ZACHOWANO PISOWNIĘ
I WSZYSTKIE OSOBLIWOŚCI JĘZYKOWE.

Wydanie czwarte

Skład: Kamil Skitek
Projekt okładki: Kamil Skitek
Zdjęcie na okładce: © Pixabay - geralt
Druk: M. Schmitt i S-ka
Wydawnictwo: Wydawnictwo Polskie
Lwów, 1920

ISBN: 978-83-8119-202-6

Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o.
ul. Spółdzielców 3, pok. 325, 62-510 Konin
tel. (63) 242 02 02, kom. 695-943-706

<http://www.psychoskok.pl/>
<http://wydawnictwo.psychoskok.pl/>

e-mail: wydawnictwo@psychoskok.pl

I.

Dziwny widok przedstawia las podbiegunowy! Cmentarz to raczej, gdyż zaprawdę więcej tu leży pni zwalonych, niż żywych korony wznosi ku niebu. A i te ostatnie stoją niskie, cherlawe, nawpół uschłe, skrzypią żałośnie w pałąk zgięte, rzadkim liściem odziane szkielety, zdając się za najmniejszym wiatru podmuchem zebrać o zgon rychły. Na ziemi leżą kłody — tu stare, zmurszałe, zgnilizną tchnące, warstwą mchów i liszai pokryte, owdzie świeże jeszcze, żywicę z ran swoich sączące — leżą, rozpostarłszy szeroko gałęzie, potraciwszy w upadku kruche wierzchołki, pojedynczo lub kupami, gwałtownie z ziemi wyrwane, ze szmatami torfu i darni. Korzenie ich sterczą do góry, niby konwulsyjnym konaniem wykręcone stopy nieboszczyków.

Tak — to pobojuwisko! Tu się toczy walka zajadła, nieubłagana, między wichrami, jałowością gleby a lasem. Poległo już wielu bojowników, ale bój nie skończył się jeszcze, o czym świadczą wymownie młode latorośle, świeżo wyrastające pomiędzy chróstami. Chciwe słońca, powietrza, pewne praw swoich, szeroko rozstawiają kosmate swoje łapeczki, wyścibiają kędzierzawe pachnące czubki blado-zielonych, iglastych gałązek ponad ciałami zabitych i w cieniu umierających. Przyjdzie czas, że i one gwałtowną zginą śmiercią, ale nie zginą na próżno.

Od północy, od morza, przez nagie tundry dmą wichry niczem nie hamowane w szalonym swym biegu i uderzają gwałtownie o młode bory. Zimno i nagłe skoki temperatury szkodliwie oddziałują na młode drzewa, rzadko rosnące na skraju lasu, a ziemia, która tylko na parę cali odmarza w ciągu krótkiego lata, nie pozwala im głęboko zapuścić korzeni. Te prawie na powierzchni pełzają u stóp drzew, poczwarnie pogięte, niby gniazdo ukropem polanych węży, wskutek czego pozbawione dostatecznego pokarmu i oparcia drzewa rosną wątłe, chwiejne i padają za pierwszym uderzeniem silnego wichru. Powalone, ciężarem swym jednak przygniatają korzenie otaczających, dając im oparcie, które pozwala stać mocniej i rosnać wyżej.

Zatem może kiedyś, gdy rozkład i próchno umarłych wzbogaci soki ziemi, pojawią się nowe pokolenia liczne, silne, zdrowe, wspólnymi siłami odmieniają

klimat, wchłoną wilgoć, wstrzymają wichry, ulepszą i rozgrzeją glebę, a wówczas tam, gdzie niegdyś padli pierwsi bojownicy, pokorni i beznadziejni, zaszumi bór potężny i zielony, mogący oprzeć się wszelkiej wichurze. Dziś te lasy blade, rzadkie, ubogie, można porównać tylko do rudej sierści parszywego rena, lub do garści starych pordzewiałych igieł i drucików, do połamanych patyczków i gałązek niedbale powtykanych w poduszki płaskich wzgórz, okrytych gąbczastymi, wypłowiałymi mchami.

W oprawie nędznych, głuchych borów tem majestatyczniej wyglądają olbrzymie, srebrne, gwarne jeziora. Jest ich tu moc niezmierna, różnej wielkości i kształtu i na różnym leżących poziomie — ziemia ta bowiem stosunkowo niedawno wyłoniła się z głębi morza, cała jeszcze perli się i jak wodnica, wychodząca ze źródła, ocieka wodą. Dawno już jednak wody tutejsze utraciły swój rodzimy charakter! Wiosenne wylewy wypłukały z nich sól i gorycz, a brzegi dawniej płaskie i nagie wzniosły się i, obrószony lasem, zmieniły ich falę morską, ciężką i potoczystą, na krótką, pluskającą i figlarną falę wód słodkich. Im dalej uciekał od nich ocean, im wyżej rósł las okoliczny, tem one stawały się cichsze, leniwsze, spokojniejsze, jak dzikie niewolnice ugłaskane i pozbawione wszelkiej nadziei. Dziś lekki wietrzyk zaledwie marszczy ich oblicza senne, gładkie, w niebo zapatrzone i otoczone rąbkiem traw i krzewów. Tylko, gdy daleko w ojczystem ich morzu zaszumi burza, niosąc w szalonych podskokach olbrzymie, rozpasane, ryczące bałwany, wówczas i one poczynają dyszeć namiętniej, podnoszą do góry spienione łby, jakby raz jeszcze ujrzeć chciały utracony na wieki świat, a zawiedzione biegną w gniewnych płasach na nizkie brzegi i, uderzając o nie gwałtownie, rozsypują się i nikną bez śladu, pozostawiając po sobie tylko długi, przenikliwy jęk. Każde jezioro ma odmienny łoskot fal i każdy podmuch wiatru inne wydobywa z nich tony. Te dźwięki, zmieszane z szumem drzew i wiatru poświstem, tworzą dziką, jednostajną, a dziwnie rzewną, smętną melodyę, pełną jakby żalu i płaczu po utraconej swobodzie. Słuchając jej, smutnieje wesoły Tunguz, zabłąkany tu w pogoni za zwierzyną, uczuwa jakieś tajemnicze drgnienia swej prostej duszy i modli się; Jakut — praktyczny rybak — zatrzymany niepogodą w swej wędrówce po jeziorach na wątlęm czółnie, leży na wilgotnym brzegu, u tlejącego ogniska, a ogarnięty silniejszym niż kiedykolwiek poczuciem swej zależności od nieznanych potęg, wtóruje piosenką echom burzy i marzy o lepszej przyszłości.

Jezioro Andy niegdyś słyneło szeroko z tych szumów, z ogromu oraz posępnej piękności swych brzegów. Ciemny, wysoki, lasem porośły przylądek wrzynał się

daleko w sam środek wód jego i dzielił je na dwie równe prawie połowy. Ale stojące na samym dzióbku przylądka kosmate modrzewie daremnie wznosiły wysoko śpiczaste swe czuby — nie widać ich było z przeciwnych brzegów. Zewsząd otaczała je toń bezbrzeżna — to błękitna, to szara, to gładka, to postrzępiona falami, zależnie od pogody i wiszącego nad nią nieba. Wązka, niska, lasem porośła szyja, rysująca się blado na połyskliwym tle otoczenia, łączyła urwisko z resztą głuchej tajgi. Powiadają, że podczas burzy i ta spójnia ginęła pochłonięta przez wodę, i przylądek stał czarny, samotny, wysoki a drobny wśród przelewających się siwych bałwanów, obryzgany pianą, drżący od uderzeń, ogłuszony łoskotem, który tu właśnie miał się rozlegać szczególnie przeciągłym, żalosnym graniem.

Może dlatego lubili go odwiedzać strwożeni i smutni, a ślady ich odwiedzin i przyniesionych ofiar po dziś dzień widzieć się dają na gałęziach drzew, na krzewach, na ziemi, na łysych polanach i wzgórkach. Są to kupy potrzaskanych reniferowych rogów i kości, wiszące na sękach, nawpół zgniłe skóry z rogami i racicami, szmatki kolorowych tkanin, pęki włosów, sznury i pióra. Tu i ówdzie, wśród skołtunionych gąszczy, migają, jak gwiazdy, wybielałe czaszki bydłace, dzwona kości pacierzowych, nasadzone na kołki, a nawet duże, z chrustu i pałek uplecione gniazda, tkwiące wysoko, a na nich szkielety nieznanym obyczajem dawno pogrzebionych ludzi. Na dole zaś zwykle u stóp pni starych, dziuplastych, krępych, krętych lub niezwykle sękatych, siedzą oparte o nie mumie zaginionych jakichś ludów, chyląc w zagadkowej zadumie puste i nagie czaszki nad szczątkami oręża i naczyń, porzuconych tu niegdyś przez żywych dla ich wyłącznego użytku.

Dziś nikt nie odwiedza „Przylądka umarłych”, jak go tu nazywają po starej pamięci, a i on sam przestał już być przylądkiem, gdyż otaczające go niegdyś jezioro znikło już dawno. Jego olbrzymie bałwany odszukały gdzieś w marnych swych brzegach rozpękłą od zimowych mrozów szczelinę, rozmyły ją, rozwarły i po śliskich grzbietach sąsiednich wód, głębokim parowem pobliskiej rzeczki uciekły z wesołym pluskiem do morza. Dziś na ich miejscu łagodnie szumią miękkie, soczyste trawy i blado-zielone rokity, wśród których miejscami tylko połyskują resztki byłych toni. A ślicznie wyglądają te małe, okrągłe lub podłużne stawki, ukryte w zielonej trawie, a mieniące się wszystkimi barwami dnia czy nocy, niby krople żywego srebra, zapomniane na dnie, jak step rozległej, jak malachitowa czasza zaklętej łąki.

W zimie tu po dawnemu biało i wietrzno; o zaszłej przemianie mówią tylko mleczne słupy dymów, z trudnością rozplywające się w stężałym powietrzu, czerwone gwiazdeczki ogni, niknące lub pojawiające się podczas mroku w chorowodach rzeczywistych gwiazd, rozsianych nisko nad stepem, oraz stada półdzikich koni różnej maści, błędzących po polu i wygrzebujących sobie pokarm z pod śniegu. W sadybach okolicznych przemieszkiwali Jakuci, nawpół osiadli, nawpół koczujący; po większej części rybacy, cokolwiek pasterze i łowcy, ubodzy, dzicy, zawsze i wszędzie wszelkimi dostępnymi dla nich środkami starający się przede wszystkim wyciągnąć pożywienie z otaczającej ich przyrody.

Już było pod koniec marca i przednówek, co rok nawiedzający o tej porze chaty krajowców, był w pełni rozwoju. Począł się on wcześniej, niż zwykle, gdyż przeszłoroczny połów ryb okazał się nad podziwianie lichym i nagromadzonych zapasów starczyło zaledwie do Trzech Króli, a obiecywał trwać długo, gdyż chmurna, wietrzna i śnieżysta aura, miarkując gorąco południowych godzin i zimno nocy, nie pozwalała zakrzepnąć na śniegach warstewce lodu, mogącej dźwigać biegnących na łyżwach myśliwców lub więzić laskonogich łosi i renów, które poczęły schodzić z gór na doliny. Po zimowym poście, była to pierwsza nowalia puszczy, pierwsza zdobycz, na którą można było na pewne liczyć i o której warto było wspominać. Była też ona pewniejszą, niż poprzedzający ją cokolwiek połów olbrzymich miętusów za pomocą płotów, plecionych z wicin i koszów, stawianych pod lodem w jeziorach, lub czerpanie „kojurami”[\[1\]](#) drobnej, odrętwiałej rybki z głębokich odmętów, gdzie ona, leżąc w ile, przezimowała. W walce nadziei i rozpacz, toczącej się w sercach nawiedzonych przez klęskę ludzi, brane też były w rachubę i te przewidzieć się dające okoliczności, mogące pozbawić ich spodziewanej zdobyczy, lecz w gawędach nikt o tem nie wspominał, gdyż grzechem było i niebezpieczeństwem mówić głośno o rzeczach tak blizkich, tak upragnionych, a tak wątpliwych! Zresztą prób nie przedsiębrano jeszcze żadnych: znaki, zwiastujące, że czas dla nich odpowiedni nastąpił, zależne od stanu pogody, jeszcze się nie pojawiły. Ale mogły się pojawić lada dzień, lada godzinę, lada chwilę nawet, i to właśnie czyniło oczekiwanie tak gorączkowo napięciem, to podniecało ducha i pozwalało ludziom wyteżać nad miarę siły i, nie bacząc na nieskończone męki chwili obecnej, przedłużać nędzne życie.

Jeszcze chwilkę... chwilkę tylko... a może... a może ona już nadeszła, i oni tylko o niej wiedzą!.., Gdy więc który z cierpiących głód budził się z bolesnej, febrycznej drzemki, to włókł się przede wszystkim spojrzeć na niebo.

„Wiatr cichnie!... pogoda!” wołał głośno, radośnie, wracając ze zwiadów, a twarze słuchających rozpromieniały się.

Lecz, jeśli „chmurno, zimno” wyszeptał za powrotem, chmurniały oblicza i myśli, gorączką rozpalały się na nowo oczy, podniesione głowy opadały na poślanie i słabły członki. Ogarniał ich znowu ciężki, letargiczny sen głodowy, pełen nęcących obrazów, zapachu krwi i potraw, widoku rozplątanych ryb, pasącego się spokojnie zwierza, oraz innej łatwej, pożywnej zdobyczy, i gasił wszystko, nawet uczucie rozpaczki! Wszystko!.. prócz bólu zwolna skręcających się i rozkręcających, pustych od dawna wnętrzności. Z odrętwienia budziło ich tylko zimno wystudzonej jurty, które oni brali za okropny dreszcz konania, zmuszało rozpalać wygasły ogień i kupić się koło niego, a gorączka szaleństwa wprawiała w ruch; wtedy wyli, jak wilki, albo pełzali po izbie, jak muchy, obudzone sztucznym ciepłem z letargu, kłócąc się o lada drobnostkę i po raz setny szukając w dawno wymiecionych śmieciach jakiej zapomnianej okruszyny pokarmu.

W małej jurcie, najbliższej „Przylądka umarłych”, a pozbawionej wszelkich ogrodzeń i dawno już nieoczyszczanej z zasp śnieżnych, odbywało się takie poszukiwanie.

Mieszkańcy jurty przypomnieli sobie o skrytkach jeszcze nieprzetrażniętych i okazywali wielką energię i ożywienie. Dwie stare baby, jedna w tunguskiej, dobrze już wyszarzanej, ale wzorzystej i srebrem wyszytej odzieży, a druga Jakutka, w skórzanym, białymi zajęciami podbitym kaftanie, ciągnęły z trudnością niewielki, drewniany stół. Stary Tunguz, w odzieży futrzanej, podobnego jak kobiety kroju, tylko bez srebrnych upiększeń, szedł za nimi, niosąc w ręku mały stołeczek, który stawiał na stole, jak tylko ten zatrzymywał się, gdzie trzeba. Poczem przy pomocy kobiet włąził na to rusztowanie i szukał na belce pod powalą płaskiego dachu, podnosząc obłoki kurzu i piasku. Baby, zadartszy do góry kościotrupie twarze, śledziły za jego ruchami, połykając ślinę.

— No i cóż?

— Nic niema.

— Zupełnie nic?

— Zupełnie. Poczekajcie, jest coś... — dodał wreszcie po długiej, nadaremnej dokoła jurty wędrówce i, wspiąwszy się na palce, sięgnął ręką głębiej w szczelinę.

Patrzący zatrzymali oddech; ustało ciche, leniwe dziobanie siekierą w ciemnym kącie za kominem; bez ruchu na jednej z ław leżący człowiek podniósł głowę,

kobiety przysunęły się jeszcze bliżej do stołu i pożerały oczyma Tunguza, który ostrożnie ciągnął coś dużego, co szeleściło i opierało się. Wreszcie, otoczone kłębamii pyłu, upadło na ziemię. Kobiety podniosły je natychmiast, a zwróciwszy się do ognia, poczęły rozwijać.

— Nie ruszajcie! — wrzasnął Tunguz, i z niezwykłą lekkością, bacząc na jego wiek i osłabienie, zsunął się z rusztowania.

— No i cóż?

— Niema nic, pusta szmata. Pożryj ją sobie, stary... tyś taki łakomy! — rzekła stara Jakutka, oddając zawiniątko Tunguzowi.

— Prawda, szmata!

— Śmierdząca ścierka. Dyabeł wie, kto ją tam położył.

— A więc nic?

— Nic!

— Nic!... — cicho, jak westchnienie, powtórzyli wszyscy.

I znowu w kącie zastukała siekiera, chory legł napowrót na ławie, a kobiety zostały przed kominem i, grzejąc ręce, przypatrywały się jak płonie rzucony na ogień gałgan.

Tunguz, otrzepawszy się z kurzu, postawiwszy stół i stołek na swoim miejscu, zbliżył się także do ognia, rozepchnął siedzące kobiety łokciami i stanął na przedzie. W niepewnych, krwawych błyskach, to gasnących wśród smrodliwego dymu, to jasno błyskających płomieni, te trzy wyżółkłe, zgarbione i strasznie chude postacie zdawały się nie żywymi ludźmi, lecz raczej zbiegłymi z sąsiedniego boru mumiami. Podobne do nich z kształtu i odzienia, zastygły obok siebie bez ruchu, wyciągnawszy do ognia krogulcze, rozczapierzone, wyschłe palce, by łącniej łowić ciepło dla stygnącego ciała, a jednocześnie by zasłonić od zbytnej spiekoty zmartwiałe twarze. Oczy zmrużyli, ale natomiast rozwarli szeroko cienkie, spękane wargi, prawie zupełnie krwi i mięsa pozbawione, a rząd błyszczący dużych, mocnych zębów wychylił się nagle z tego okropnego kłębuszka drobnych, wężykowatych zmarszczek, pokrywających nizkie ich łby i zapadłe policzki. Od czasu do czasu odgarniali z czoła kosmyki włosów czarnych i skołtunionych, a wówczas z szerokich rękawów wysuwały się cienkie piszczele rąk, obciągniętych skórą workowatą, zupełnie mięśni pozbawioną. Gdy otwierali powieki, wzrok ich błędny, dziki, bolesny, potęgował grozę widoku. Jaka moc trzymała życie w tych kościotrupach, trudno było odgadnąć; tutejsi mieszkańcy często ruszają się, pracują i myślą w takich warunkach, jakich bez przerażenia

wyobrazić sobie nie może Europejczyk. Wszystko jednak ma swój koniec.

— Ach! gdyby choć główkę rybią, jak wczoraj! — westchnęła Jakutka.

— Oho! — powtórzyła jej milcząca zwykle towarzysza.

— Jeszcze czego! — Codzień wam się zachciewa główki rybiej — skarcił obie Tunguz surowo. — I któż byłby tyle głupi, żeby je zostawił?

— To prawda!

— Ujbanczyk, dziecko moje! — jęknął znowu chory, podnosząc się na pościeli — dziecko moje, idź, myślę, do Andrzeja... jeszcze raz... poproś... może da cokolwiek... Powiedz mu... inaczej... pomrzemy!... Sił nie starczy... Pomrzemy!

— Pomrzemy! — powtórzyli inni chórem — przyszedł, nastąpił nasz dzień.

— Wczoraj zjedliśmy ostatnią garść łyka — dodała gospodyni. — Nic niema w komorze... jak wymiótł, nawet skóry.

Robiący żerdź w kącie rzucił siekierę i wyszedł z cienia. Był to chłopak lat dwudziestu paru, dość wysoki, barczysty i tęgi, ale obecnie równie, jak i inni mieszkańcy jurty, głodem wycieńczony; obszerna, futrzana kuklanka[2] zwisała mu z ramjon ciężkimi, niezgrabnymi fałdami; płaska, szeroka, ciemno-brązowa twarz, uwieńczona ogromną szopą czarnych, kędzierzawych włosów, od chudości stała się prawie trójkątną.

— Pójdę, ojcie, może da — wyrzekł łagodnie.

— A jakże, spodziewaj się! — zaskrzeczał gniewnie Tunguz, szeroko roztwierając czarną, niezwykle od chudości policzków obszerną paszczę. — Czeka! On ci da!... Gdybyś mu zaniósł co zastawić, albo spieniężyć, to jeszcze, kto wie, możeby dał, choć nawydziwiałyby pewnie niemało! Och! nawydziwia!... wielki nasz pan... Oj! oj!... Prosiłem go onegdaj: Daj cokolwiek, Andrzeju, przecież moja dziewczyna pracuje na ciebie. — „Pracuje, no i je, myślę, powiada, a ty stary oddaj lepiej namiot, na co ci on? Renów nie masz, a i wkrótce kipniesz!” A jakże! Niby to ja się śpieszę. Renów nie mam, to prawda, ale dziś nie mam, a jutro będą. Niby to ja już na wieki zaprzedał się w niewolę i siedzieć będę na miejscu, jak przeklęty... Dziś tak, jutro owak! Zapomniał sam, jak był biedny, jak u ludzi korzystał... Taki, nie dał! A ja mu przecie niegdyś dawałem. Oj, dawałem!... Nie chodź, chłopcze, do Andrzeja, twardy to człowiek, siły tylko zmarnujesz, a lepiej do boru po... łyko! Bo bór, to ojciec, nikomu nie odmawia, jeśli co ma.

— Takbym go i puściła, do boru... syna, z pustym żołądkiem, bez ciepłej

strawy, żeby przepadł? Po łyko... do bo-ru!... Sam idź kiedyś taki zuch! — zawarczała zgryźliwie Jakutka.

— Cicho stara, cicho! — począł znów chory przerywanym głosem. — Idz, Ujbanczyk, synu, idź. Ten stary sam nie wie, co gada; on cudzoziemiec, on Tunguz. Rok taki ciężki; nie może przecie Andrzej każdemu, co potrzebuje, rozdawać swego majątku; nawet jego bogactwa na to nie starczy. I to on teraz tylu ludzi karmi. Ale my jego krew, jego plemię, powinien się ulitować. Niechby dał choć trochę, choć odrobinę, aby tylko jakkolwiek przetrwać. Mało przecie zostało. Odrobimy! Bóg da! Słońce zaświeci, przyjdzie wiosna, ciepło, odrobimy. A zemrzem, to przepadną jego długi — zakończył pouczająco.

Chwilę zatrzymał się, nabrał tchu w zbolące piersi i znów dalej tak ciągnął:

— A i sen miałem dobry: śni mi się, że u słupa na dworze stoi biały, jak mleczna piana, ogier z uszami jak kukułki, z oczami jak jaskółki, z grzywą do ziemi i ogonem, płynącym za nim, niby fala burzliwej rzeczki; stoi i rży. Obudziłem się. Znów zasnąłem, i znów stoi i rży. I tak do trzech razy!

Obecni wysłuchali opowiadania z uwagą i nabrali otuchy. Ujbanczyk, który siedział na ławie, usłuchał ojca, nadział ogromną, futrzaną czapkę, także niedźwiedzie rękawice i wyszedł. Gdy się drzwi za nim zamknęły w chacie zapanowała grobowa cisza, przerywana tylko trzaskaniem ognia. Po pewnym czasie grzejący się u komina rozpetzli się po kątach, zmęczeni wzruszeniem i ruchem, pokładli się na pościeli.

Posłaniec jednak nie wracał długo. Drzewo wytliło się na kominie i jurta poczęła się wyziębiać. Zwlekli się więc z ław i znów skupili dokoła ogniska, roznieconego przez jedną z kobiet; nawet chory tym razem przyłączył się do nich i, siadłszy na niskim zydelku, zadarł do góry niebieską koszulę i grzał odstonięte, wychudłe, niegdyś silne i szerokie bary. Tunguz, niecierpliwszy od innych, wyszedł na dwór wypatrywać posłańca.

— Nie widać, w polu czysto — rzekł, wracając po chwili.

— Nie wraca, coś długo nie wraca! — szepnęła matka. — Może upadł na drodze.

Nikt jej nie odpowiedział, nie ruszył się nawet. Tylko stary zaczął gderać.

— A co? Mówiłem, że nie da. A co? moja prawda! Długo nie wraca, a więc nie dał, bo gdyby dał, toby chłopak z radości prędko przyleciał. Tak to, tak. Ludzie nigdy nie pamiętają, co wzięli, a tylko to liczą, co dają. I już mu on pewnie policzył, policzył! A przecie sam był biedny, sam brał. Pamiętam, przyjeżdżał do mego obozowiska. Zabijałem natychmiast najspaśniejszego z mych trzystu

renów. Tłuszczu na garbie i żebrach, ot ile — i pokazywał słuchaczom, składając cztery palce. — Krwi, wnętrzości moc! I on syt, i jego psy syte, i wszyscy syci. Warzymy przedewszystkiem ozór, chrapy, wątrobę I serce.

— Taaak? — zawtórowali rozciekawieni słuchacze.

— A jakże, jak wypada na cnego gościa. W obozowisku pełno ruchu. Moja kobieta uwija się, córki jej pomagają: robią kiełbasy z krwi, czyszczą wnętrzości, rąbiają, warzą, pieką. Z kotłów para smakowita bucha, aż mdli. A my siedzimy sobie z Andrzejem u ogniska, na przednim miejscu, na wysokim podścielisku z pachnących, modrzewiowych gałązek, i zapijamy wódeczkę. Takie to były czasy. Były, ach były! I byłyby zawsze, i byłyby wciąż, ale... nie urodziła chłopca, nie urodziła — kiwnął głową na żonę, która zrozumiałwszy, że o nią chodzi, lękliwie a chyżo zwróciła ku niemu głowę, aż zabrzęczały jej kolczyki, długie, ramion sięgające.

— Co tam chłopca! Jeden czort! Ja urodziłam dwóch, a jednak umieram z głodu — posępnie zauważyła gospodyni.

— Grzech, stara! och grzech, i nie ustawa, tak skarżyć się na Boga. Czyż my jedni? Wola Jego — zaprzeczył jej żywo z trudnością dyszący gospodarz.

— Nie wraca Ujbanczyk, nie wraca! — znów ktoś westchnął.

Rozmawiający umilkli i nadstawili uszów, czyli ich nie doleci jaki pocieszający dźwięk z zewnątrz. Ale napróżno, a że nie chciało im się porzucać zagrzanych miejsc dla marnej ciekawości, więc nie ruszając się, gwarzyli dalej.

— Tak, tak — wzdychał Tunguz — wszystko Bóg! wszystko Jego wola... ale zawsze pochlebnie mieć spadkobiercę. Córka to przecie tyle co obcy; nie do domu, a z domu. Miałem ich trzy; najstarsza była też najpiękniejszą; dano mi za nią siedemdziesiąt renów. Wziął ją człowiek już niemłody, ale bogaty. Weselisko wyprawiliśmy sute, zwierza zabiliśmy sztuk piętnaście. Jadła było w bród i wódki w bród, a wódka w owe czasy była droga i za butelkę płacono lisa, i to dobrego. Pamiętam, jakbym dziś widział: rozsiedli się weselnicy dokoła skóry tylko co zdartej z zabitego renka, a przy każdym, wo! jaka kupa dymi się mięsa: tłuszcze, ozory, wątroba, serce, kiełbasy — wszystkiego nadzielono każdemu, i nie mało, nie myślcie! A tyle, że worki pękały, gdy, odjeżdżając, ładowali w nie pozostałe kęsy... Ot jak!... Doprawdy... Niech ludzie korzystają. Nie skąpiłem, kiedy Bóg dał! Druga córka też była śliczności; ale już zbiedniałem, więc mi dano za nią tylko trzydzieści renów. Wyprawiliśmy jednak weselisko huczne: jedliśmy, jedli! piliśmy, pili! trzy dni wciąż bez przerwy, jak przystało. Właśnie obozowałem

w pobliżu traktu. Kto chciał, przychodził i stawał się gościem. Siadał w kole biesiadników na poczesnym miejscu; nie patrzałem na to, czy on Jakut, Rosyanin, czy Tunguz... o nie! Nie miałem tego zwyczaju. Za ledwie siądzie, natychmiast weselny „rozdzielacz” [3] niesie mu i kładzie na kupę: kawał schabu obrosłego żółtym tłuszczem, jak kamień jagielem, ozór świeżutki, wątroby, serca, chrapów renowych, wszystkiego po kawale, grubą niby miętus kiełbasę, nalaną kopconą w dymie krwią i zmieszaną z kulkami wółstrawionego reniego kału... Aż się obliżesz! Oj! oj! były czasy! Wreszcie stawiają misę dymiącą się, pełną polewki z krwi zaprawionej mąką... Oto jak! A na spodeczku stoi sól dla tych, co ją lubią. Byłem bogaty... A teraz... umieram z głodu! Kości moje nie spoczną w górach, a ostatnia moja dziewczka jeszcze dziewczyną, u cudzego zmuszona uwijać się ogniska. Och! czuje me serce, zmarnieje ona, na nic marnieje.

— No, nie grzesz, stary! Żle jej u Andrzeja się nie dzieje, wszyscy to widzą, żyje jak pani. Nawet do chlewa gospodarz jej chodzić nie zniewala — broniła krewniaka gospodyni z lekkim dąsem w głosie, a gospodarz ją podtrzymał pochwalnym mruknięciem. Umilkł więc Tunguz, głowę opuścił i, przysunawszy sobie do ogniska pienuşek, usiadł zadumany. Niepoprawny gaduła — gadając zapomniał o głodzie, który mu teraz, podniecony wspomnieniami byłych biesiad i smacznych kąsków, stokroć boleśniej zawiercił w wnętrznościach. Płakał więc stary, mrużąc od czasu do czasu:

— Wątroba, chrapy, ozór. Były czasy! Och były... Tłusz krajaliśmy cienko, liczyli jak pieniądze, kruchem mięsem przetykali gardło, szpikiem je smarowali, żółtem masłem płukali usta. Och... och!...

— A bodaj ci język usechł! — burknął nareszcie gospodarz i, postępując, podniósł się z siedzenia. — A Ujbanczyka jak niema, tak niema — dodał.

Po namyśle nadział kaftan, czapkę i wyszedł, by tym razem osobiście się przekonać, czy się nie zbliża poślaniec.

Słońce już dawno wymieniło zenit i, staczając się coraz niżej do widnokręgu, znajdowało się już niedaleko jego krawędzi. Ukośne promienie, odbi[...] od śnieżystych polan zlekka zakłęślej kotliny Andy, uderzyły z niezwykłą mocą w twarz starca. Olśniony tem nagłym przejściem od zmroku jurty do iskrzącej jasności, stał Jakut czas jakiś bez ruchu, zakrywszy twarz rękoma. Rychło jednak dłonie rozemknął i, przytrzymując je jak daszek u czoła, w dal spojrział: linia drogi gzygzakowata, blada i niewyraźna, jak cienki, niepewną ręką zrobiony rys na papierze, ginęła wraz z dalszą częścią śnieżystego swego tła pod jednolitą, ze

słońca spadającą zasłoną promieni. Ten wachlarz blasku oblamowały u dołu przejrzyste, tuż nad ziemią wznoszące się, cudnie nićmi światła dziergane mgły wieczorne.

Dziki, jak ptak drapieżny, patrzył wprost w tę jasność płomienną. Z początku nic nie dojrzał, ale po jakimś czasie zdało mu się, że widzi wśród delikatnej, złotej kurzawy pływający pyłek jakiś, pyłek czarniejszy, bardziej nieruchomy, niż inne, a nadto wciąż rosnący.

— On — szepnął, lecz czekał cierpliwie, niepewny jeszcze. Punkcik znikł, zaplątawszy się gdzieś wśród płomieni; gdy jednak po chwili pojawił się znowu, był już bliższy i wyraźniejszy; jeszcze trochę, a wypłynął całkiem i można w nim było rozpoznać wolno na łyżach sunącego człowieka.

— Idzie! — krzyknął wówczas stary, a uczynił to mimowoli tak głośno, że będący w izbie usłyszeli go, wyszli, a stanąwszy za nim półkolem poczęli również przyglądać się.

— On, i niesie coś!

— Coś ciężkiego. Widać, jak się zgarbił.

W miarę jak się zbliżał, czuli, że ich coś dusi, słabość niezwykła ogarnia i nie mogli rzec słowa. Nawet wówczas, gdy chłopiec zdyszany, ale radosny, z woreczkiem czegoś rzeczywiście ciężkiego na plecach stanął pośród nich, nie pytali go o nic, a tylko szeroko, naścież otwarli przed nim drzwi izby. Ujbanczyk wszedł, ciężar zrzucił i postawił go ostrożnie na środku stołu. Ciekawi natychmiast otoczyli stół kołem.

— Dał? — spytał, słabym głosem gospodarz i dotknął palcem woreczka, jakby się chciał o jego istnieniu upewnić.

— Widzicie przecie, stoi.

— Mąki?

— Zupełnie jak dziecko pytacie, tatulu. Rozumie się, mąki, siedmnaście funtów. Całą jej partycę, pudów z dziesięć przysłano z miasta! U Andrzeja zebranie, dzielą.

— A nas nie zawołali?

— Daleko, powiadają, nie było czasu; lud zgłodniały nie chciał czekać; zresztą tam Dżjanha, powiadają.

— Co tam Dżjanha — odrzekł z dąsem stary Jakut, ostrożnie rozwiązując woreczek, niby świętość jaką. Dobył zeń szczyptę, na dłoń nasypał i, patrząc

uważnie, uśmiechnął się.

— Jadło! — rzekł wreszcie poważnie — a koby pomyślał, nie wiedząc: białe i miękkie, do śniegu, albo do piasku podobne... Rośnie, powiadają, na południu, jak trawa.

— Ech, gdzie tam rośnie — zaprzeczył mu Tunguz — kopia w górach, jak sól, słyszałem. Któżby nastarczył siał? Taką to tego co rok moc przywożą do miasta, pewnie pudów ze trzysta. A jadlo znakomite! można robić placki, podplomyki, albo smażyć na maśle oładije. Można też kaszę ze krwią warzyć. Kiedym był bogaty, wielokroć jadałem... doprawdy! A tylko dużo jeść nie trzeba, bo serce zgorzeje.

— Dużo... skąd go weźmiesz! — drwiąco wtrącił ktoś ze słuchaczy.

Rzeczywiście, zważywszy ilość gąb, można się było nie obawiać „zgorzenia serc”, ale ponieważ tutaj lepiej może pamiętają i bardziej, niż gdzieindziej, szanują przysłowie: „lepszy rydz, niż nic”, powyższa uwaga nie zmąciła ogólnej radości. Gospodarz starannie strzepnął mąkę z ręki do worka, pozostałość skwapliwie oblizał i krzyknął wesoło na gospodynię, aby warzyła wiecezrę.

Zmęczony Ujbanczyk wypoczywał, wyciągnięty na ławie, nie nudzili go więc pytaniami, ale obsiadłszy stół, czekali w milczeniu na kolację. Tymczasem kobiety uwijały się około ognia: nalały wody do kociołka, powiesiły go na drewnianym haku, podkładały pod niego bezustannie żarzące węgle i suche drzazgi, by zawrzało co rychlej. Skoro woda zaczęła się gotować, wrzuciły do niej szczyptę mąki, starannie rozmieszawszy i rozbiwszy z wodą, poczem posiłek był gotów. Gospodyni postawiła na stole misę dymiącą się, jak ołtarz ofiarny.

Długo nie było nic słychać, prócz mlaskania języków i stukania łyżek, któremi chyżo czerpali, ściśle przestrzegając kolei, wreszcie gospodarz odezwał się, nie przestając jeść:

— A więc, powiadasz, że u Andrzeja dzielą?

— Już podzielili — odrzekł chłopak.

— N-o-o! A zawszeż to niedobrze, że nas nie zawołali. Nie ustawa!

— Dżjanha, powiadają, jest przecie.

— Co tam Dżjanha! Rzecz wiadoma, Dżjanha tyle, co cudzy. W karty grać, po weselach się włączyć, najeść, napić, pomocować, pofiglować, to on na to, jak na lato; ale pamiętać o starym ojcu i matce, tego nie było jeszcze i nie będzie. Ot i teraz, kiedy u nas krucho stało, przepadł bez wieści.

— Mccy! — mlasnął nagannie Tunguz.

— A cóżbyś ty chciał, żeby siedział? — wtrąciła gospodyni, korzystając z tego, że rozmawiający mężczyźni wsadzili do ust łyżki. — Ty zawsze na niego napadasz, a on wiedział, co robił. I lepiej, że poszedł: jedna gęba mniej, toć zawsze lżej.

Jakut pojął doniosłość żoninej uwagi, lecz dotknięty, nie chcąc ani się zgodzić, ani wywołać zwykłej burzy domowej z powodu starszego syna, udał, że nie słyszy.

— Ale zawsze źle, że nas nie zawołali, nie ustawa — zagadał do Ujbanczyka. — Podatki płacimy, jak inni, jesteśmy od innych nie gorsi. Nic ustawa!

Ponieważ misa już była próżna, stary zwłókł się z za stołu i przeniósł na ulubione przez krajowców miejsce, na mały zydełek przed kominem. Tunguz siadł obok niego na pieniuszku, a Ujbanczyk stanął u słupa i, obtarłszy usta rękawem, gotował się odpowiadać. Kobiety, zajęte sprząaniem naczyń i dokładaniem drew do ognia, starały się robić to jak najciszej, by nie przeszkadzać rozmawiającym i nie utracić jakiego ciekawego słówka.

— No, Ujbanczyk! a gadaj, chłopcze, coś widział i słyszał, jak się należy po porządku — wyrzekł ojciec, poczekawszy, aż krzątania zupełnie ucichła.

— Idę, przyszedłem — począł parobek. — Widzę na podwórzu reny, konie; w izbie zebranie. Gadają, słucham: opowiada sam Mora, syn Filipa, i cuda opowiada. On to przecie, jak wiadomo, woził do miasta prośbę o pomoc od naszej gminy; no, i przywiózł. Ale jak to się stało, posłuchać warto! W drodze głodował; przyjechał do miasta, też niema co jeść. Chodził, chodził, cały dzień chodził, nie mógł złapać pana naczelnika.

— Mccy! — mlasnęli zgodnie słuchacze. — Któż go złapać w stanie?

— To śpi, to w domu niema, to przyjmuje gości. A Mora tymczasem nic nie jadł, a i reny stoją głodne.

— Oj, stoją, niebożęta stoją!

— Nareszcie — późno wieczorem zdybał naczelnika w policyi, prośbę mu oddał, czeka. Ten papier przeczytał i zwraca. „Nie — mówi — nie mogę tego uczynić bez pozwolenia wyższej władzy. Dawać nie wolno. Posłałem już dawno zapytanie do gubernatora; jak przyjdzie odpowiedź, dam znać przez Uprawę”. Pomrzemy, panie nasz łaskawy, pomrzemy — kłania się Mora. „Przez Uprawę — zakrzyczał — nie wy jedni... w głowie się mąci” Wyszedł Mora i wróciłby pewnie tak z niczem, z pustymi rękoma, ale poszczęściło mu się! W sieni zemdliło go ni z tego ni z owego, serce mu wskoczyło do gardła, potoczył się i upadł. Nie dziwota! Człowiek

zdrożony, nie jadł dzień cały. W mieście gorszy niż u nas głód, tam nawet łyka modrzewiowego nie mają, więc mu nikt nic nie dawał, prócz szklanki czarnej herbaty; nie dawał, bo sam nie miał!

Leży sobie Mora w sionce, a jak długo leżał, nie wie, tylko pamięta, że bardzo mu się spać chciało, więc się gniewał, że go ktoś budził, nogą kopał i za nos ciągnął. Otworzył oczy i widzi: światło, ludzie, panowie, kozacy w mundurach, ze świecami w ręku, a pośrodku sam naczelnik okręgu.

— Oj! oj! sam naczelnik okręgu, powiadasz — szepnęli słuchacze.

— A jakże — podchwycił Ujbanczyk i, zmieniając głos, by udać lepiej mówiących, ciągnął dalej: — „Pewnie pijany! Weźcie go do kozy!” „Nie pijany, wielmożny panie, a musi być, z głodu! — mówi ten, co Morę dźwigał — wódki nie czuć!” „No, to wnieście go tutaj”, Wnieśli Morę do policyi, posłali po doktora, a gdy ten przyszedł, to mu dali jeść. Wyteńczył się Mora, wstał; poznał go wtedy naczelnik i pyta: „Czegożeś ty nie powiedział?” „Nie śmiałem”. Kazał go prowadzić do siebie, do kuchni, napoić, nakarmić i mąkę obiecał wydać na swoje ryzyko, bez gubernatorskiego pozwolenia. Tejże nocy wydali, uprosił Mora: reny głodne, pokarmu w pobliżu niema, zdechną. Ulitował się naczelnik, czy też może przeląkł, dość że rozkazał natychmiast wydać. Ze świecami do magazynu chodzili.

— Oj! przeląkł się, przeląkł. Bo nie ustawa, żeby człowiek pode drzwiami z głodu umierał, a i cesarz pewnie za to nie pochwali! — rzekł gospodarz, drapiąc się po grzbiecie. — A wiele też dał?

— Dziesięć pudów, po dziesięć rubli pud. Jesienią, powiadają, trzeba będzie płacić, więc nasi bogacze, jak to usłyszeli, zagrabili prawie wszystko. Dziesięć pudów po dziesięć rubli pud, toż to kiesa[4], powiadają, skąd wy weźmiecie tyle pieniędzy? My będziemy zmuszeni płacić, więc nasza mąka!

— A jakże! Jeżeli ich posłuchać, to wszystko, wychodzi, wkrótce ich będzie: i ryba, i woda, i ziemia i las. Jeszcze czego! A cóż gromada?

— Gromada? niby nie wiesz: milczy, jak zawsze. Ozwał się tam ktoś, że u każdego jedna tylko gęba, ale szanowni napadli na niego, że sam rad nie był. „Kto największe podatki płaci, krzyczą, kto największy dochód czyni skarbowi? My! O nas więc. cesarz powinien się troszczyć najwięcej, nasza mąka”. I zabrali: ten pud, ten dwa, ten półtora, a biedocie już od siebie rozdali, po odrobinie, rozumie się. — Tu Ujbanczyk jął szczegółowo opowiadać przebieg rozpraw; kto wiele wzięł i na jakich zasadach; kto się z kim przy podziale pokłócił i jak sobie przymawiali, jak się godzili. — A wszystko Andrzej, co i mówić! człowiek z głową

na karku, zakończył. Nam, naprzykład, nic dać nie chcieli, ale on wytargował. „Mateusz, mówi, prawda, biedny, lecz ma synów łowców; znajdą oni, znajdą, niech tylko do wiosny przetrzymają”. No, i dali dziesięć funtów. Kiedym odchodził, to mi jeszcze pięć funtów ze swoich dodał: „Ja wiem, wam nie starczy, mówi, a my ludzie swoi, krewniacy, policzymy się później, odrobicie”.

— Albo nie? Albo to pierwszyczna? — z dumą podchwycił gospodarz.

— No i Tunguzowi on wytargował, całe dwa funty wytargował. „Panowie gromada, mówi, Tunguz biedny, stary, gmina mu pomódz powinna, żyje razem z nami; on też niegdyś, gdy był bogaty, pomagał nam Jakutom; nie trzeba zapominać starego, on poczciwy i Bóg nam za niego odpłaci”. Pomruczeli, pomruczeli, no i dali! Rozumie się, to wiadomo, co Andrzej powie, to się stać musi.

— Doskonały człowiek! — wykrzyknął z zapalem Tunguz, który, choć silił się udawać obojętność, promieniał coraz bardziej w miarę, jak Ujbanczyk powtarzał pochlebne dlań wyrazy Andrzeja. — Doskonały człowiek!

— Co i mówić! za pierwszego go mamy człowieka — zgodził się Mateusz i spytał syna:

— A nie mówił Andrzej czasem, czym i kiedy mamy mu odrobić? Hę? pewnie siano znowu kosić? Oj to siano, to siano! Zje ono nas, połknie do reszty. Znów stogu, cośmy kupcom winni, nie będziemy w stanie nakosić. A nie powiedział ile?

— Nie, a tylko prosił na teraz po sąsiedzku usłużyć i odwieźć Rosyanina do miasta. Chce, żebym ja pojechał, żeby się miał z kim cudzoziemiec po drodze rozmówić, bo wiecie, on wściekły, jeszcze z innym robi awanturę. Nie da Bóg!

— Więc jedziesz?

— Jadę, i to jutro. I Dżjanha jedzie, bo znów gromada prośbę podaje, żeby dali mąki, gdyż powiedają, że z gubernii przyszedł już papier, aby dawać potrzebującym bez pieniędzy i odrobku, za darmo. Mora, wracając, spotkał kozaka, który wiózł pocztę, i ten mu powiedział, że wie napewno, iż jest taki rozkaz, więc gromadą posyłają.

— A kiedy jedziecie?

— Mówiłem, że jutro; ale przyjść dziś kazali więc zarazby trzeba.

Zaczęto więc chłopca szykować do drogi; każdy oddał ze swej odzieży, co miał najlepszego. Ujbanczyk sztukę po sztuce pilnie oglądał; liczył guziki, rzemienie podwiązywał, a rzeczy poprute oddawał kobietom do zaszycia. Jednocześnie stary

Mateusz szperał po kątach i, zrzedząc, wywłóczył stamtąd różne stare graty, gdyż przyszło mu do głowy wysłać z synem do miasta na sprzedaż coś ze zbytecznych rzeczy. Ale, wyjąwszy dziurawy, żelazny kocioł i starą wyleniałą skórę, służącą synowi za pościel, niczego więcej, mającego jakąś wartość, wynaleźć nie mógł, wziął więc z komina miedziany czajnik, jedyny kosztowniejszy sprzęt w gospodarstwie i, nie bacząc na żałośnie patrzącą żonę, zaczął go uważnie oglądać.

— Chybaby czajnik oddać? Czy co? — medytował — jak kupcy przyjadą latem, to poprosimy Andrzeja, żeby zaborgował. A teraz herbaty niema, stoi bez użytku. Jak myślicie?

— No tak, rozumie się, herbaty niema — podtrzymał go nieostroźnie Tunguz, który od chwili rozpoczęcia się poszukiwań siedział cichutko, jak trusia.

— I tybys też co dał, Teodorze — począł dość jednak nieśmiało gospodarz — gwintówkę naprzykład, ona też bez użytku leży, prochu nie masz, i gdzie już tam tobie strzelać staremu! Mybyśmy ci odpłacili, a i sambys był syty.

Tunguz zerwał się jak oparzony.

— Gwintówkę! Jeszcze czego! O duszę mię prosić będziecie, o duszę! Lepiej mi oddajcie moje dwa funty i ja sobie pójdę. Gwintówka moja nie zda się dla was, nie zda! Broń to tunguska, powiązana rzemieniami, nikt jej nie kupi, nie spojrzysz nawet na nią. Zresztą, nie strzela, doprawdy, nie strzela. A dla mnie ona zda się, oj zda się! dla zięcia. Powinniście pożałować mnie biednego starego, wy bogaci — dodał żałośnie.

— Nie ustawa — począł Mateusz, ale Ujbanczyk nie dopuścił do kłótni, przekładając ojcu, że rzecz nie warta zachodu, że nie dziś, to jutro rozpoczną się łowy, że się obejdą i że doprawdy trzeba pożałować starego, który przecie, czyż nie wiecie, głupi. jak dziecko.

[1] Kojur — rodzaj worka siatkowego, napiętego na obręcz, przymocowaną niby łyżka do długiego trzonka.

[2] Kuklanka — rodzaj bluzy futrzanej, spadającej do kolan, niekiedy

opatrzonej kapturem.

[3] Na weselach Jakutów i Tunguzów tej miejscowości urząd „rozdzielacza” pełni który z biedniejszych krewnych gospodarza.

[4] Kiesa — suma pieniędzy od 80 do 120 rub.

Koniec Wersji Demonstracyjnej

Dziękujemy za skorzystanie z oferty naszego wydawnictwa i życzymy miło spędzonych chwil przy kolejnych naszych publikacjach.

Wydawnictwo Psychoskok

